Memento mori. — Pamiętaj o śmierci!

Niepodobieństwem jest, aby Ewangelja dzisiejsza nie przejęła nas pewną trwogą, na wspomnienie o końcu świata, i pewności sądu ostatecznego, o którym Chrystus nam powiedział. Podobnie jak świat ten, tak i życie nasze zakończy się, śmierć nadejdzie. pomrzemy wszyscy i na sąd Boga pójdziemy, na którym ze wszystkich czynów naszych ścisły rachunek złożyć będziemy musieli Sędziemu. Nie masz nic stałego na tej ziemi, wszystko przeminie, wszystko się zakończy; znikną te piękne dzieła Boskie, nad któremi się nasz rozum wydziwia; wymrą wszyscy ludzie, spoczną w ciemnych grobach i znów zmartwychwstaną na sąd ostateczny, na którym Bóg Sędzia dobrych weźmie do chwały swojej, a złych pośle na męki piekielne.

Zwracając uwagę na ową chwilę okropną, na ową tak pewną jak Bóg sam, godzinę naszej śmierci, można powtórzyć słowa Zbawiciela, któremi opisał okropność dni poprzedzających koniec tego świata, iż będzie w ów czas ucisk wielki, jaki nie był od początku; bo zawsze przykrą jest człowiekowi ostatnia chwila jego życia, po której wie, iż sąd Boski nastąpi. Historje życia Świętych wiele nam bardzo przywodzą przykładów, jak oni po życiu w najsurowszej pokucie spędzonem, drżeli na łożu śmiertelnem, czując nadchodzącą godzinę śmierci i lękali się sądu Bożego, lubo mieli świadectwo sumienia, iż Bogu wiernie w dniach swoich służyli. Jeżeli więc sprawiedliwych śmierć przejmowała bojaźnią, czyż my grzesznicy możemy być obojętni na nią, i nie myśleć o końcu naszego życia? O! myślmy często za życia o śmierci, sposóbmy się do niej, abyśmy dobrze i spokojnie pomarli. Wielkie bardzo i zbawienne korzyści pamięć na śmierć przynosi, tak dla człowieka sprawiedliwego, jak i dla grzesznika; bo sprawiedliwy utwierdza się w dobrem, a grzesznik porzuca swoje nieprawości.

Jak się spełniła przepowiednia P. Jezusa o upadku Jerozolimy,

Było to roku 70 po narodzeniu Chrystusa. Nadeszły święta Wielkanocne. Niezmierna liczba żydów zebrała się ze wszystkich stron świata do Jeruzalem. Tytus, brat Wespazjana, cesarza rzymskiego, chcąc ukarać żydów za ciągłe rokosze, podstąpił pod miasto święte, i obsaczył je tak, że liczni pielgrzymi nie mogli powrócić do swych domów lecz zostali zamknięci w mieście.

Wkrótce też straszny głód powstał w Jerozolimie. Rzymski wódz starał się dobrocią przez posłów skłonić żydów do poddania się, ale wszelkie namowy i rady były bezskuteczne; żydzi trwali przy swym uporze. Wielu z nich starało się wprawdzie ratować ucieczką, i dlatego sprzedawszy swe majętności za bezcen, połykali złotówki, by je zabezpieczyć; lecz fanatyczni dowódcy żydowscy nie dali im umknąć, mordując bez litości każdego, kto się chciał z miasta wydalić. Głód coraz więcej się wzmagał, a z nim i wściekłość dowódców.

Gdy nie miano już zboża, wpadali gwałtem do domów, by się czem obłowić. Jeśli znaleźli nieco zboża lub innej żywności, to się pastwili nad mieszkańcami, że kryli żywność i zabierali co tylko było; jeśli nic nie znaleźli, to wtedy bili mieszkańców, bo ich podejrzywali o ukrycie żywności i chcieli ich mękami zmusić do jej wydania.

Wielu bogaczów sprzedało swe majątki za miarkę pszenicy lub jęczmienia, a z tem, co zakupili, udawali się do najodleglejszego kącika, by spokojnie móc spożyć i pożywić się. Nigdzie nie ujrzano potrawami zastawionego stołu, ale każdy chwytał już z naczynia, w którem się gotowało, nie czekając aż się ugotuje. Przytem jeden drugiemu w rodzinie wydarł chleb z ręki, dzieci rodzicom, rodzice dzieciom, mąż żonie i odwrotnie.

Tymczasem otoczył Tytus miasto długim murem, by żydom nie dać się wymknąć — przez co położenie mieszkańców stało się trudniejsze. Wtedy to spełniły się słowa Pana Jezusa: „Przyjdą na cię dni, i obtoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem — i oblegą cię i ścisną cię zewsząd". Gdy jednak co dzień tłumy Żydów pędziły za mury, by przynajmniej jakich korzonków lub ziela uzbierać dla posilenia się, Rzymianie chwytali ich gromadami i w oczach oblężonych na krzyż ich wbijali — nieraz po 500 na dzień, a czasem i więcej. Nie można było nawet nastarczyć krzyżów, ani znaleźć dosyć miejsca na nie. Niektórym ze złapanych kazał Tytus ręce poucinać i tak pokaleczonych i pokrwawionych odsyłać na postrach do miasta.

Gdy między wojskiem rzymskiem gruchnęła pogłoska, że zbiegowie połykali złotówki, rozcinali im wnętrzności, by zło to odszukać. Jednej nocy 2000 żydów w ten sposób postradało życie. Tem okrucieństwem tak się oburzył Tytus, że każdego, kto by się jeszcze odważył to uczynić, śmiercią ukarać rozkazał. W mieście taka była nędza, że Józef Flawiusz czyni uwagę: „Wątpie, czy od stworzenia świata jakie miasto tyle wycierpiało". (C. d. n.)

OSTATNIA WOLA MATKI. 5

(Dokończenie).

Była to 30-sta rocznica śmierci matki. W jednym z kościołów Warszawy klęczał przy ołtarzu Franciszek W. Twarz jego wynędzniała i blada, liche i wytarte ubranie świadczyły aż nadto, że człowiek ten żył w nędzy i biedzie. Nie długo potem weszła do świątyni jego żona. Niedawno jeszcze była to kobieta młoda i ładna, dziś przygarbiona od zmartwienia i wstydu; włos jej przypruszony siwizną, wychudłe i zapadłe policzki wskazywały, że i jej nieodstępną towarzyszką była nędza. Za matką wsunęła się cicho ze swą 3-letnią dzieciną córka Franciszka. Na czole dziecka widać jeszcze było ślady rozbicia. Za niemi wszedł poważnie, bogato przybrany wraz z żoną Włodzimierz.

W czasie mszy św. zdawało się, jak gdyby obecni nie wiedzieli o sobie, jedno na drugie nie zwracało uwagi. Zdawało się, że każdy z nich jedynie był zajęty własnym losem, własnym ciężarem, który go przygniatał, nie dbając o resztę świata.

Lecz kiedy po skończonem nabożeństwie podniósł się Franciszek i poza sobą zobaczył żonę, córkę, ulubioną wnuczkę, a wreszcie brata, którego od tylu lat nie widział, zmieniła się scena natychmiast i miejsce pozornej obojętności zajęło wzruszenie i szczęście, malujące się na wszystkich twarzach.

Nie opisujemy sceny powitania i pojednania Franciszka z bratem i żoną, bo któż może podobne chwile dokładnie opisać? Czytelnik w duszy sam sobie je dośpiewa, tu jeszcze tylko nadmienimy, co zaszło przed kościołem.

Na tem samem miejscu przed bramą kościoła, gdzie przed 30 laty bogaty fabrykant tak nielitościwie odepchnął biednego malarza, stali znowu obaj bracia, ale jakże odmienne były ich role. Dawny fabrykant dziś w letniem odzieniu, wynędzniały i biedny, a ubogi wówczas malarz, odziany obecnie w bogate futro, majętny i pełen sławy. Jak wówczas tak i dzisiaj wiał wiatr zimny i przenikliwy północny, i teraz to Franciszek miał sposobność poznać, co znaczy w takim czasie nie mieć ciepłego odzienia. Zdawało się jednak, że nie czuje on wcale zimna, że pojednanie z bratem i rodziną każe mu zapomnieć o wszystkiem, co mu dolega, raz po raz powtarzał tylko:

— Ach bracie, bracie! Bóg cię zesłał w dniu dzisiejszym?

— Dlaczegoż to właśnie spotkanie nasze w dniu dzisiejszym robi cię tak szczęśliwym? — zapytał Włodzimierz.

— Jakto, więc się nie domyślasz? Przecież to dzisiaj upłynęło lat 30 od śmierci naszej matki, możemy więc podjąć kapitał przeznaczony na msze święte. Ach! jakże ja pragnąłem w ostatnich czasach, aby cię znowu odnaleźć! Teraz będzie wszystko dobrze. Ty jesteś przy nas i dasz bez trudności zezwolenie na odebranie tejże sumy. Ja żądam tylko połowę i za to chcę rozpocząć nowe życie.

— Środków na założenie nowego sklepu ja ci udzielę z własnej kieszeni — odpowiedział malarz. — Tymczasowo dam ci, a raczej twojej poczciwej, zacnej żonie 5000 rubli. Kapitał jednak ofiarowany przez matkę kościołowi zostanie wiecznie jego własnością. Bo kto wie, czy ja, gdyby nie ostatnia wola matki, byłbym tem, czem jestem, i wątpić należy, czybym was był kiedy odszukał. Dłuższy czas rozpytywałem się o ciebie i przeszukiwałem całe miasto — wszystko nadaremnie! Wtedy powiedziałem sobie: jeśli jeszcze żyje, to przyjdzie, przyjdzie na mszę św. w Nowy Rok, bo przecież to było matki ostatnią wolą, która znowu nas złączyła.

Franciszek nieznający dotąd litości i serca, o mało na kolana nie padł przed bratem.

Po roku dawny fabrykant, a następnie żebrak, był znowu poważanym i wcale zamożnym kupcem z łaski brata. Z twarzy jego biło zadowolenie, żona podzielała razem z nim dni weselsze, i wszyscy czcili go znów i szanowali; — miłością natomiast otaczali jedynie skromnego malarza, który własną pracą i charakterem dorobił się sławy i majątku. A kiedy rodzina wyrażała mu słowa podzięki, zwykł był odpowiadać:

— Cała moja zasługa na tem jedynie polega, że wypełniłem ostatnią wolę matki!